

## Szkic o Beksińskim

Życie jest całkowicie nieprzewidywalne. I dobrze.

Nieziemska wystawa tonęła w mroku czarnego bunkra wybudowanego w Nowohuckim Centrum Kultury. Socrealistyczna dzielnica Krakowa idealnie nadaje się na obrazy tego artysty. Byłem sam. Nie licząc dwóch ochroniarzy. Jeden głośno objaśniał drugiemu świat. Drugi rzucał celne, życiowe uwagi. Na początku trochę mnie drażniło to gadanie w muzeum. Później uznałem to za osobliwy kontekst tego miejsca i czasu. Usiadłem na jednej z kilku sof ustawionych w środku. Wyciągnąłem notes. Przed sobą miałem „Katyń” jak nazwał go mانشard Beksińskiego, Piotr Dmochowski. Zgadza się. Kto zobaczy, ten się domyśli o którym obrazie tu napisałem.

— A widział pan te twarze? - zapytał niespodziewanie zapytał pierwszy.

— Tak? Które? — podniosłem głowę.

— Niech pan wstanie i podejdzie do tego obrazu. Pokażę panu - powiedział.

Trochę zaskoczony i bardziej zaciekawiony wstałem i podeszłem.

— O tu, tu — wskazał palcem na kawałek obrazu. — Widzi pan? Hę? No i co jest twarz, nie?

— Faktycznie, wydaje się, że to twarz — odparłem.

— No, tu oko, tu usta, o tu, tu — z zadowoleniem w głosie pokazał mi jeszcze raz ten kawałek pomazanego farbą płótna.

— A jest tego więcej — powiedział. — O w tym obrazie, niech pan pójdzie za mną, o w tym widzi pan, niby postać, a podejdz no pan bliżej, widzi pan, oko, nos. A tu — pokazał mi nowy obraz, tu są aż trzy!

— Widzę jakby jakąś jedną — powiedziałem dość odważnie zważywszy na jego zapał w odkrywaniu mi tych twarzy i pewność, że jak on widzi to i ja muszę.

— No co pan, tu i tu, przecież widać — powiedział.

— Wie pan — odparłem „panem” na „pana” jak przystało na placówkę kulturalną — w chmurach na niebie też można zobaczyć wiele kształtów. Zresztą ma pan, czego panu zazdroszczę, mnóstwo czasu będąc tu w pracy, przy okazji wyłapywać wszystkie te ukryte treści — powiedziałem.

— No tak, wie pan jak się tu siedzi dwieście godzin w miesiącu to tak — uśmiech znawcy zagościł na jego szczerej twarzy.

— A wiedział pan, że stosował cztery rodzaje werniksu? — kontynuował.

Nie wiedziałem. Dostałem więc krótki wykład z techniki werniksowania na przykładzie dzieł, od najstarszego do najnowszego. Chodziliśmy po sali, patrzyliśmy pod różnymi kontami. I rzeczywiście im starsze prace, tym lepsze technika.

— O niech pan zobaczy, ale tak pod takim kontem, widzi pan jak jest, nie widać zacieków — powiedział

— Jest gładko — odparłem.

— A tu zaprowadził mnie do środka sali, widzi pan jak napaćkane? Aż się leje. — powiedział.

— Jasne, że widać — odparłem. — Tamten jest z ostatnich malowań. Technika poszła w górę.

— Ja to panie tego nie studiowałem — odparł. — Ale wie pan, siedzi się tu i ogląda to się wyłącza takie smaczki. Albo te haki — pokazał mi hak na obrazie i zaprowadził do innego, gdzie było ich więcej.

— Faktycznie, jest tego trochę — powiedziałem.

— A może pan kupić jeszcze plakaty, są trzy, po dziesięć złotych. Ja kupiłem córce trzy i jest zachwycona — powiedział. — Albo może pan tu przyprowadzić kogoś.

— Miałem przyjść z żoną, ale za miesiąc mamy termin porodu, a na tej wystawie mogłaby jeszcze za wcześnie urodzić — odparłem

— Tak mogłaby tu urodzić — potwierdził.

Porozmawialiśmy jeszcze głośno, jak na muzeum nie przystało, choć myślę, że w tym kontekście jak najbardziej jednak przystało. Po czym podałem obu panom rękę i życząc szczęścia w nowym roku wyszedłem na hol. Kto by pomyślał, że ochroniarz okaże się tak ciekawym przewodnikiem, chociaż mocno niekonwencjonalnym. Ale o to właśnie w tej całej, niezwyklej sytuacji chodzi. Przecież właśnie wydarzył się cud. Sztuka zesła z piedestału do nas, na padół, między zwykłych ludzi, na ulicę. I wtedy my zwykli ludzie doświadczyliśmy niezwykłego. I to spontanicznie. Naturalnie. Są chwile, których nie można kupić. Bezcenne. Jak ta.

Życie na szczęście jak zwykle wyprzedziło w kreowaniu historii najwymyślniejszą nawet fikcję. I też dobrze.